Nr. 8. Lwów dnia 21. marca. Rok 1865.

TYGODNIK NAUKOWY.

Wychodzi co Wtorek. Kosztuje z przesełką pocztową: 6 złr. rocznie; 3 złr. półr.; 1 złr 50 cnt. kwart; 50 cnt. mieś. Listy niefrankowane nie przyjmują się.
Redakcja przy ulicy Niższej Ormiańskiej l. 364.

URYWKI.

IV.

Życie duchowe z życiem zmysłowem, materjalnem łączą się tak ściśle, że jedno bez drugiego w zwyczajnych warunkach pojąć się nie da. Gdyby człowiek mógł pozbyć się jednego a żyć tylko drugiem, przestałby być człowiekiem. On może tylko podniecać jedno więcej jak drugie, pielęgnować jedno tylko ze szkodą drugiego — co zawsze chorobliwie na całego człowieka oddziaływa. Powstają ztąd, albo gruby materjalizm albo wszechmądra, bezcielesna anielskość, równe sobie w skutkach, bo ścierające zupełnie z czoła piętno człowieczeństwa. Koniecznie więc powinien tu być zachowany pewien harmonijny stosunek, w przeciwnym razie bowiem, cel życia będzie błędnie pojęty lub wcale zapomniany.

Stosunek ten duchowego do zmysłowego życia nie da się mierzyć ściśle i oznaczyć dla wszystkich zarówno, — miarą czasu naprzykład: że tyle a tyle godzin należy pracować na chleb powszedni, w ciągu takiego czasu zjadać go, a resztę poświęcać umysłowej pracy, żyć duchowo, — bo w cywilizowanem społeczeństwie praca, choćby najwięcej materjalna, jeżeli tylko swej zacności i pożytku jaki dla ogółu przynosi świadoma, już koniecznie duchem się posługuje, a właściwie z niego bierze swój początek — jest objawem, rezultatem duchowego życia, nigdy jednak ostatecznym celem tegoż.

Inne są miary tego stosunku, a te daje nam ustrój społeczny z jednej i wrodzone intellektualne zdolności z drugiej strony.

Za daleko zaprowadziłoby nas — bo na pole fizjologicznych badań — usiłowanie oznaczenia tego stosunku według wrodzonych zdolności. Nie przerywając zatem wątku poprzedzających uwag, — gdzie celu życia szukaliśmy *in bono publico*, które mieszcząc w sobie korzyść jednostki, ważnego bodźca do pracy, egoizmu nie odrzuca, owszem uznaje jego potęgę, nadaje mu rozumny i szlachetny kierunek, uprawnia go i tak najlepiej, najmoralniej i z jak największą dla jednostki i dla ogółu korzyścią go wyzyskuje, — oprzemy się tutaj także na prawach społecznych,

które jasno i dobitnie mówią **komu i kiędy umożliwiają**, a **od kogo nawet żądają bezwarunkowo większego zajęcia się umysłową pracą**, co właśnie będzie przedmiotem niniejszych uwag.

Czem duch i ciało w życiu jednostki, tem kultura i dobrobyt w życiu społecznem. Kultura bez dobrobytu wzrastać i kwitnąć nie może, również dobrobyt bez kultury się nie obejdzie; gdzie jej wcale nie ma, tam ją stwarza, aby ta znowu do jego wzrostu dopomagała. Jedno bez drugiego istnieć nie może. Człowiek bez ducha nie godzienby nazywać się człowiekiem; społeczeństwo bez kultury nie zasługiwałoby na nazwę społeczeństwa ludzkiego. Kultura i dobrobyt warunkując i posiłkując się wzajemnie dają harmonję społeczną, która się **życiem narodu** nazywa.

W czasach przedhistorycznych, w pierwszym zawiązku społeczeństwa kiedy człowiek, nie jak się poetycznie wyrażać zwykliśmy, w niemowlęctwie zawieszony na łonie przyrody ssał z pełnej jej piersi, ale kiedy wytężać musiał wszystkie swe władze intellektualne na to tylko, aby swą egzystencję zachować, kiedy walczyć musiał z tą tajemniczą dlań w ówczas i strachem go przejmującą karmicielką, raz szczodrą, łagodną i opiekuńczą, drugi raz skąpą, okrutną i niszczącą, — wtedy nie żył duchowo, wtedy duch był służebny ciału, bo nad tem tylko pracował, aby potrzeby tegoż zaspokoić. Cała kultura stała nadzwyczaj nizko, i tylko na niewielu sposobach wyszukania codziennego pożywienia się ograniczała. Lecz skoro pilna skrzętność człowieka znaczniejsze nagromadziła zapasy, wtedy duch odetchnął wolniej i wtedy mógł dopiero tworzyć i szukać pokarmu dla siebie. Dlatego to widzimy te narody najpierwej na wyższym stopniu oświaty, które najprędzej i najwięcej nagromadziły majątku. Pomijając wszystko to, co na wzrost dobrobytu a zatem i oświaty przyjaźnie lub nieprzyjaźnie działało, — jak warunki klimatyczne, przyspieszające lub opóźniające rozwój społeczeństwa fizyczny i duchowy — poprzestajemy tu na przytoczeniu prawdy historycznej: że dobrobyt pierwszy umożliwił, a więc pośrednio stworzył kulturę. Dopiero zapewnienie codziennego chleba dozwala umysłowi żyć i rozwijać się swobodnie. Bez troski o jutro bierze wtedy człowiek z naładowanej skrzyni materjalnych zasobów, które dając możność kształcenia ducha, lepiej zużytkowanemi być nie mogą. Gromadzenie majątku było więc i jest zawsze pierwszym warunkiem oświaty.

Lecz za tem idzie nierówny podział uzbieranego majątku, w czem niezawodnie większe lub mniejsze zdolności umysłowe, początkowo ważną odgrywały rolę. Ten nierówny podział majątku nie tamuje wcale wzrostu kultury, owszem dzielnie jej rozwój popiera. Społeczeństwo rozpada się na dwa działy; jedni pozostają przy pierwotnem zajęciu i ładują dalej spichrze bogate, drudzy biorąc z gotowego oddają w zamian za to płody swego umysłu. Społeczeństwo zaczyna płacić robotę ducha tak dobrze jak robotę rąk. Prawem dziedzictwa następcom przekazane majątki, dają posiadaczom przewagę nad pracującymi i wzrastają szybko. Społeczeństwo widzi się wnet w posiadaniu tak znacznych zasobów materjalnych, że może z pomiędzy siebie wydzielić pewną ilość zdolniejszych, których do umysłowej pracy przeznacza i których z tej nadwyżki zaoszczędzonych kapitałów utrzy-

muje. Poczem, okupiona tak znojem tysiąców oświata, przeciska się i do tych drobnych mrówek roboczych, budzi w nich ducha, wskazuje krótsze i korzystniejsze drogi w pracy, naucza sposobów oszczędzania sił i czasu — w ogóle, nie odrywając od ciągłej pracy fizycznej uszlachetnia ich, podnosi i daje stosunkowo mniejszy, ale do ogólnej harmonji społecznej dostateczny pokarm umysłom. Wtedy ogół cały pełen zdrowia i siły żyje duchowo równie potężnie jak fizycznie i to życie wielkimi na polu postępu objawia czynami. Społeczeństwo, naród taki ma dopiero prawo nazywać się ucywilizowanym. A pierwszym szczeblem wiodącym go na tę wysokość, — powtórzmy — było gromadzenie majątku i nierówny podział tegoż. Ci bowiem, którzy pilną pracą i większemi zdolnościami znaleźli się w posiadaniu większych zaoszczędzonych kapitałów, ci też najpierwej rozwiązali, skrępowane dotąd względami codziennego życia, skrzydła myśli i stali się zarodkiem całej dzisiejszej oświaty. I każdy niepracujący fizycznie należy dziś albo do majętnych, (niestety zbyt często tylko gładkich dyletantów wiedzy), albo do tych, których społeczeństwo umyślnie w tym celu utrzymuje, którym za to płaci. Jedni jak drudzy, zwykle nazwą intelligiencji obejmowani, umysłowo ogółowi służyć, we wszystkiem mu przodować i kierować nim powinni. Na to są przeznaczeni, to są ich obowiązki, to zadanie ich życia.

Wejdźmy w bliższy rozbiór tego wysokiego stanowiska i wielkiego przeznaczenia w społeczeństwie, majętnej i ubogiej intelligiencji: starajmy się osądzić sumiennie czy ogół nie za wielkie wkłada na barki majętnych ciężary, czy nie za wiele od nich żąda wymagając od wszystkich bez wyjątku intelligiencji produktywnej w umysłowym lub materjalnym kierunku, czy przeciwnie powinien się kontentować „dobrem i gładkiem wychowaniem;" dalej czy słusznie społeczeństwo uważa chleb powszedni biednej intelligiencji, pracą umysłową zarobiony, jako środek a nie jako cel i czy tym także nieproporcjonalnie wielkich nie narzuca obowiązków, — przytem mając nasze stosunki na oku, zobaczmy o ile u nas teoretyczne, ogólne, zawsze sprawiedliwie i wysoko moralne prawa społeczne, źle pojęte, ze szkodą narodu w życiu pomijane lub przekraczane bywają.

(C. d. n.)

Stan polityczny Księztwa Warszawskiego w r. 1812.

Skreślił Bronisław Zamorski.

(Ciąg dalszy.)

Na dniu 5. czerwca przybył ambasador do Warszawy. Instrukcje tego nowego ambasadora były prawie te same co jego poprzednika. W nich wyraźnie najpierw nakazuje książę Bassano arcybiskupowi de Pradt, by „instrukcję wydaną bar. Bignonowi pod dniem 26. lutego 1811, wziął pod ścisłą

*

rozwagę.“ W dalszym ciągu instrukcja de Pradta w treści brzmi: „Wojnie nowej idzie nietylko o pokonanie Moskwy, lecz o wskrzeszenie Polski; Polska zatem dobijając się bytu, powinna pomagać do zwycięzenia Moskwy... Ponieważ sejm ma się zebrać w połowie czerwca 1812 r. więc osobna na ten cel wyznaczona komisja zrobi sprawozdanie o nieszczęściach i nadziejach ojczyzny. W skutek tego należeć będzie do sejmu ogłosić przywrócenie Polski, zawiązać się w konfederacje i w końcu oświadczyć, że wszędzie gdziekolwiek znajdują się Polacy, mają prawo konfederować się dla obrony kraju. Sprawozdanie komitetu powinno mieć cechę europejską i polską, i być zwróconem jedynie przeciw Rosji, bez niepotrzebnego uderzenia na Austrję i Prusy, przychylające się z góry do wszystkiego. Główna zaś konfederacja utworzyć się ma w Warszawie i pozakładać komitety w różnych województwach. Do tych komitetów należeć powinno wydawanie potrzebnych odezw; wszystkie zaś szczegółowe i zbiorowe akta konfederacji mają być drukiem ogłoszone i rozesłane nietylko w księztwie, ale i w prowincjach polskich pod Rosją. W tym ruchu narodowym wpływ ambasadora nie powinien być widocznym, chociaż powinien wszystko widzieć, wiedzieć o wszystkiem, każdą czynnością kierować i umysły ożywiać. Dla dopięcia tego celu nadane ma prawo zasiadania w radzie ministrów, która posiadać będzie władzę dyktatorską.“

Z taką instrukcją pełną wagi wszedł ambasador francuzki do rady ministrów, przedstawił jej wymagania cesarstwa francuzkiego, i polecił przygotowanie prac w instrukcji zawartych do przyszłego sejmu, który się miał stać konfederackim. W ciągu dalszego naszego opowiadania wyjaśni się ta instrukcja, a zarazem wyjaśni postępowanie ambasadora, ministrów, sejmu zwołanego i zawiązane „k o n f e d e r a c j i j e n e r a l n e j k r ó l e s t w a p o l s k i e g o.“

Dekret królewski jeszcze z dnia 24. maja datowany, a przysłany radzie ministrów 14. czerwca, zlał najwyższą władzę rządzącą na radę ministrów. Tłumacząc przyczynę tego zlania władzy, mówi wyraźnie król, że „zważywszy nadzwyczajne teraźniejszej chwili okoliczności, wielkie przeznaczenie narodowi rokujące, dla sprężystszego działania w rządach w ręce ministrów składa władzę.“ Na mocy tego dekretu królewskiego rada ministrów zwołała sejm pełny na dzień 26. czerwca 1812 r.

Jakoś w krótce po przybyciu ambasadora de Pradt, przybył do Warszawy na stałe zamieszkanie były jenerał ziem podolskich książe Kaźimierz **) Czartoryski feldmarszałek austrjacki z Puław. Przybycie księcia Czartoryskiego do Warszawy, poniekąd znane nam z instrukcji danej bar. Bignonowi, rozjaśniło się dopiero w czasie zbierania się sejmiku warszawskiego, w którym znalazł się książe także jako kandydat do wyboru na posla. Posłem z powiatu warszawskiego był jeszcze wówczas Piotr Łubieński, minister sprawiedliwości, jednakowoż ten został tą razą złożony z godności poselskiej — a za przemówieniem Stanisława Potockiego, wówczas prezesa rady ministrów, książe jenerał ziem podolskich i były poseł na sejm konstytucyjny r. 1788. został obrany posłem z powiatu warszawskiego do sejmu pełnego na dzień 26. czerwca 1812 r.

Mylne i spaczone są pojęcia Skarbka co do zwołania tego sejmu, który twierdzi, jakoby sejm zwołany na dzień 26. czerwca był tylko czczą komedją, bo go tak chciał mieć z góry Napoleon. *) Tymczasem uważać nam wolno, że Napoleon wręcz przeciwne miał widoki, co do sejmu zwołanego na dzień 26. czerwca 1812: raz świadczy przeciw mniemaniu Skarbka instrukcja dana rezydentowi Bignonowi i późniejsza ambasadorowi Pradtowi, które ... as o zu-

*) »Dzieje księztwa Warszawskiego Fryderyka hr. Skarbka. Poznań 1856.« 2 tomy.
**) W poprzedzających rozdziałach tego opracowania pisano mylnie: K o s t a n t y.

*) »Dzieje księztwa Warszawskiego Fryderyka hr. Skarbka. Poznań 1856.« 2 tomy.
**) W poprzedzających rozdziałach tego opracowania pisano mylnie: K o s t a n t y.

pełnie innych dążeniach i chęciach tego wielkiego męża. Napoleon chciał, aby przez ten sejm naród polski sam o sobie wyrokował, chciał aby na głos wybrańców narodu, cały naród stanął jak jeden mąż za falangą wielkiej armji w celu wywalczenia sobie dawnych praw i granic Rzeczypospolitej. Napoleon nie chciał tylko komedji, bo nie dla komedji szła armja wielka przeciw caratowi moskiewskiemu, ale na zupełne pokonanie tegoż, ku któremu pokonaniu główną sprężyną i czynnikiem miał być naród polski, a przewodnikiem tegoż jeniusz Napoleona I.

IV.

Już na samym początku r. 1812 starała się Moskwa zawrzeć z Turcją spokój, gdy z Szwecją i Anglją zawierała przymierze. Zaś Napoleon z swymi sprzymierzeńcami stworzywszy wielką armję ruszył do boju. W pierwszych dniach czerwca wielka armja przeszła Odrę i stanęła na ziemi polskiej. Francuzi w centrum linji w Wielkopolsce, korpus posiłkowy austrjacki stał pod Lwowem a pruski we wschodnich Prusach na lewym brzegu Niemna.

Napoleon wyjechał z Paryża 9. maja, i jechał na Drezno dla osobistego widzenia się z królem pruskim i z cesarzem austrjackim, na co 10 dni czasu strawił; a stanął 30. maja w Poznaniu przyjmowany tamże przez wojewodów Sobolewskiego i Wybickiego. Już 12. czerwca założył główną kwaterę w Królewcu a 23. czerwca wydał do żołnierzy z Wilkowiszek jako z swej głównej kwatery następującą odezwę:

„Żołnierze! Zaczęła się druga wojna polska. Pierwsza skończyła się pod Friedland i w Tylży; tam zaprzysięgła Rosja Francji wieczne przymierze, Anglji wieczną wojnę. Dziś gwałci swoje przysięgi: i żadnego względem osobliwego postępowania swego nie chce dać tłumaczenia, dopóki się orły francuzkie za Ren nie wrócą, zostawując sprzymierzeńców naszych jej samowolności. Rosja pociągana jest złym losem swoim, jej przeznaczenie musi być spełnione! Miałażby rozumieć, żeśmy się już zmienili? Mielibyśmy już nie być żołnierzami z pod Austerlitz? Stawia ona nas między hańbą a wojną: wybór nie może być wątpliwym. Naprzód więc przejdźmy Niemen, przenieśmy wojnę na ziemię rosyjską. Druga wojna polska równie będzie chlubną dla oręża francuzkiego, jak pierwsza; lecz spokój, który po niej zawrzemy, w sobie samym rękojmię trwałości swojej mieć będzie, i położy nieprzebytą tamę dumnemu wpływowi, jaki Rosja od lat pięćdziesięciu na stosunki europejskie wywierała.“

Na głos wielkiego wodza wzywającego do tak szlachetnej a dla Polski zbawczej wojny, ruszyło 500.000 zbrojnych ludzi naprzód. Lecz niestety, ta masa ożywiona była nadzwyczaj rozmaitym duchem. Francuzi, jak zwykli towarzysze szczęśliwego wodza — ruszyli z jak najlepszym duchem — pewni zbierania wawrzynów nowej sławy wojennej. Niemcy nie mogli być dobrym duchem ożywieni, ani mieć żadnej pobudki do poświęcenia życia sprawie ich przekonaniu tyle przeciwnej — sprawie polskiej! Niemcy byli rakiem w sile wielkiej armji, przyszłą zgubą jej istnienia. Prusacy mianowicie, w których kraju i wojsku tajne towarzystwo „Tugendbund,“ wraże Francuzom, szeroko się rozgałęziło, a do którego i nieopatrzni Polacy także się łączyli, byli najłatwiejsi do przekabacenia się na rzecz Moskwy. Wojsko austrjackie także nie mogło być chętne „drugiej wojnie polskiej,“ bo było w niem pewne uczucie upokorzenia, należeć do wojsk posiłkowych tego mocarza, z którym od lat 20. zaciętą prowadziło wojnę. Okazuje się to jasno z zimnej odezwy naczelnego wodza wojsk austrjackich księcia Schwarcenberga w Lublinie do wojska wydanej: „Rozkaz

Najjaśniejszego monarchy naszego wzywa nas na nowo do boju; ciągła monarchy pieczołowitość o dobro państw jego, skłoniła go do tego. Pierwsza z cnót wojskowych, to jest: przywiązanie do monarchy i ojczyzny — nie może być jawniej okazaną, jak przez zupełne poświęcenie się temu, co monarcha stosownie do okoliczności czasu postanowi i rozkaże."

Tak więc z całej armji wielkiej cesarza Napoleona zaledwie czwarta część, w którą wliczyć trzeba 60.000 Polaków, zupełnie oddaną była sprawie, za którą ten wielki mąż oręż podnosił.

Przeciw armji napoleońskiej stanęło 300.000 jednolitego wojska moskiewskiego na ogromnej przestrzeni od Bałtyku przez Żmudź aż do Lidy — w okolicach Grodna, Wołkowyska i na Wołyniu. Car Aleksander dowodził osobiście całem wojskiem swojem. Pierwszą wiadomość o wkroczeniu Francuzów do Litwy otrzymał na balu w Zakrecie pod Wilnem, i w odezwie swojej z dnia 25. czerwca 1812, oznajmił wojsku swemu, że „idzie się bić z największym wrogiem Rosji — a Bóg jest przeciwko napastnikowi."

W ten sposób rozpoczęła się „druga wojna Polska" z r. 1812, którą opisywać zakres naszego opracowania nie dozwala; tylko na główne wypadki powoływać się wedle potrzeby będziemy. Powiedzmy tu tylko, że zwycięzko postępowały bitne szeregi francuzko - polskie naprzód, a kraj miał się przygotować na wszelkie możliwe wypadki.

W skutek napływu wielkiej masy wojska do księztwa, wedle uchwały sejmu odbytego, zajął się minister spraw wewnętrznych dostarczeniem produktów in natura armji; nie mniej w marcu ogłoszony został dekret królewski zakazujący wywozu zboża za granicę. Również w całem księztwie warszawskiem uskuteczniono pobór do wojska wedle zasad konskrypcji, a od żydów wybrano zamiast ludzi 700.000 złot. pol. opłaty rekrutowej. Prócz tego na mocy dekretu królewskiego z dnia 10. kwietnia powołano do gwardji wszystkich mężczyzn od 18 do 50 lat wieku mających a w służbie wojskowej niepozostających. (C. d. n.)

HELLENIZM A POLONIZM.

(Ciąg dalszy.)

III.

(Gramatyka polska a gramatyka grecka. — Język polski a język grecki.)

Niezaprzeczoną jest rzeczą, że przez studjum języka greckiego rozwój gramatyki polskiej bardzoby skorzystał. Niema bowiem języka w świecie, któregoby gramatyka tak wysoko stała, jak gramatyka grecka. Była ona i jest przedmiotem nadzwyczaj ścisłych gruntownych i umiejętnie prowadzonych prac i badań zachodzących w najdrobniejsze szczegóły, szczególnie u naszych sąsiadów Niemców, będących niezrównanymi mistrzami co do cierpliwości i wytrwałości, co do dokładności i gruntowności w pracach podobnego rodzaju. Niejeden naród w niejednym dość znacznym okresie swego życia umysłowego i naukowego, razem na wszystkich polach umiejętności, imion tylu uczonych wykazać nie może, ilu oni w tej jednej gałęzi studjów nad starożytnością niezmordowanych i gruntownych pracowników posiadają, skła-

dających wyniki swych, wprawdzie *con amore* prowadzonych, ale zawsze w pewnym sposobie heroicznych prac, badań i usiłowań, to w specjalnych dziełach, jak n. p. nad używaniem partykuły ὑπὸ u Homera,*) to w bardzo obszernych gramatykach i skróconych kompendjach dla użytku młodzieży albo nauczycieli, dla szkoły albo prywatnej nauki osobistej przeznaczonych, to wreszcie w tem niezliczonem mnóstwie ponawiających się i sypiących nawałą objaśnień i komentarzy do całych dzieł i pojedyńczych miejsc i ustępów autorów starożytnych. Nie dziw przeto, że gramatyka grecka jest dziś tak dokładnie opracowaną, że najdrobniejsze rysy języka są schwycone i sfiksowane, że cały materjał językowy jest zupełnie obrobiony i że go każden gramatyk z największą łatwością i swobodą do skonstruowania swego systematu użyć może i że ona nawet wyżej daleko od gramatyki łacińskiej stoi, która szczególnie co do strony gienetycznej form i składni, reguły, podziały i układ starodawną tradycją przekazany zachowuje, będąc też mniej do porównawczych lingwistycznych studjów wciąganą.

Wiemy, że nikt u nas w tych gałęziach a zapewne i nad własnym językiem tak gruntownie pracować nie będzie, wiemy też nawet, że Polak specjalnie tej gałęzi nauki się poświęcający we wszystkie odnośne prace i komentarze zatapiać i zapuszczać się nie będzie, bo naród nasz ma nad wielą gałęziami pracować, w których mu prace obcych jego prac oryginalnych zastąpić nie mogą i zastępować nie zwykły, a co najbardziej — zastępować nie powinny; — a już sama ta okoliczność, że jesteśmy narodem numerycznie stosunkowo i w porównaniu do narodów zachodnio-europejskich a szczególnie Niemców bardzo nielicznym, i że nawet z całej liczby narodu naszego przy ogólnym stanie oświaty u nas i przy stosunkach możności szerzenia się jej między ludem naszym, tylko drobna część kontyngiens pracowników na polu nauki i literatury stawiać może — już ta sama okoliczność czyni nam tak specjalne studja niemożebnemi, tem bardziej, że uniwersalistyczny duch narodu naszego każe nam z prac specjalnych ogólną pożywną treść wyciągać. Chcę tu tylko zwrócić uwagę na to, ileby korzyści dla gramatyki polskiej przyniosło obznajomienie się tylko z najuniwersalistyczniejszemi opracowaniami gramatyki greckiej, streszczającemi w sobie wszelkie nowoczesne badania, jakiemi są np. gramatyki Buttmana, Madwiga, Matthiä, Krügera i Curtiusa. Wiadomo nam bowiem, że na polu gramatyki dopiero od niedawna u nas czynność dokładniejszą i więcej umiejętną rozwinięto. Wprawdzie — nie mówiąc już o dawniejszych pisarzach na tem polu — prace nowsze jak n. p. Sucheckiego, Muczkowskiego, Łazowskiego, znacznie stan tej gałęzi u nas naprzód posunęły, a gramatyka Dra Antoniego Małeckiego, jako najbardziej umiejętna publikacja w tym rodzaju, epokę stanowi i niedarmo miał o niej najznakomitszy gramatyk słowiański w naszym czasie, prof. wszechnicy wiedeńskiej Dr. Miklosich powiedzieć, iż to dzieło na zawsze filarem filologji słowiańskiej pozostanie. Mimo tego wiemy, iż to jest pole jeszcze niewyczerpane, bo nie wiem, czyli ogółem w żyjącej mowie wyczerpanem być może, a u nas daje ono jeszcze możność do wielu specjalnych badań, przy których poznanie gramatyki greckiej bardzo by nam posłużyło do ujęcia w reguły wszystkich właściwości i prawideł zasadniczych całej gramatyki ogółem, a szczególniej składni i do statecznego uzupełniania struktury gmachu gramatycznego—tembardziej, że cała struktura etymologiczna i syntaktyczna języka greckiego ma do polskiego jak ogółem i do innych słowiańskich języków daleko więcej analogji niżeli się nam wydaje, i daleko więcej niżeli

*) Jacob La Roche: Uiber den Hiatus und die Elision in der Cæsur des dritten Fusses und der bukolischen Diæresе bei Homer Wien 1860; grossOktav 33 Seiten. — Jacob La Roche. Beobachtungen über den Gebrauch von ὑπὸ bei Homer. Wien 1861. gross Octav, 51 Seiten. — Jacob La Roche. Der Accusativ im Homer. Wien. 1861. gross Octav. XII, und 266 Seiten. Są to próbki niezliczonych nowszych publikacyj w tym rodzaju.

język łaciński. Zwykliśmy przeciwnie mniemać z tej przyczyny, że nasz język stał długo pod wpływem łaciny bliższej nam historycznie, czasowo, ale wpływ ten był więcej zewnętrznej natury, wprowadzając las wyrazów łacińskich w język polski, — co tylko świadczy o tem, że nas łacina na niższym stopniu kultury czyli zewnętrznej cywilizacji zastała, i że obdarzając nas formami zachodniego świata w braku odpowiednich pojęć w polskim narodzie a przeto i odpowiednich wyrazów w polskim języku i swoją nomenklaturą nas zalała. Wewnętrznego ducha języka przemienić wpływ łaciny nie mógł bo ten pozostaje zawsze wiernem odbiciem umysłowego stanu narodu — a w tej mierze ma język grecki daleko więcej do naszego podobieństwa.

Jest to przedmiot zasługujący na bardzo gruntowne studjum naukowe tak co się tyczy porównania i wykazania różnic a podobieństw między językami polskim a łacińskim i polskim a greckim, jakoteż co się tyczy zestawienia cech charakterystycznych tych narodów. Ramy tej rozprawki nie pozwalają mi wchodzić w drobne szczegóły i dlatego mogę tu dać, szczególnie pod względem językowym, tylko drobny szkic streszczający co najważniejsze charakterystyczne rysy.

Zacznijmy więc najprzód od więcej duchownej części gramatyki, od składni. Widzimy tam w obu językach polskim i greckim jednakową lekkość i niewymuszoność, jednakową swobodność wyrażenia się, czasem blizko do ostateczności doprowadzoną, jakiej n. p. w niemieckim a i w łacińskim języku nie ma. Taż sama w obu prostota logiki, dalekiej od wszelkich kruczków i zawiłych drobnostkowości w jakie n. p. łacina tak obfituje, taż stateczna jednostajność wyrażania się w zastosowaniu pewnych środków syntaktycznych na wszystkie możliwe przypadki, a oddająca mimo tego tak dokładnie i jasno wszelkie najrozmaitsze i najlżejsze odcienia, jakich nieraz w innym języku z równą precyzją oddać nie można. Za przykład może tu posłużyć niesłychanie rozległe używanie partykuły *ἄν*, któremu w naszej składni to tak gęsto przychodzące i wszelkie modalności nam zastępujące *by* zupełnie odpowiada.

W obu językach zdania zawisłe nie są tak silnym konjunktywem spojone, jak to się w łacinie dzieje, ale tylko lekko przyczepione, w obu szyk słów w zdaniu najdowolniejszy i zupełnie li tylko od względów wagi i nacisku i harmonji zdania zawisły, podczas gdy łacina a szczególnie i niemiecki język, równie jak i inne nowoczesne języki—szczególnie pod względem szyku słów w zdaniu i ich następstwa po sobie, pewne stałe i niezmienne ale zato swobodny tok myśli i łatwość cieniowania krępujące i ścieśniające prawidła posiadają. W polskim zaś i greckim języku widzimy dalej to samo częste używanie imiesłowów, w obu podobny stek negacyj nieznoszących się wzajemnie, chyba gdy jedna bezpośrednio drugą neguje. — Nie chcąc zanadto się rozszerzać w stosunku do całości rozprawy i do zajęcia się nią czytelników, nie będę dalej podobnych specjalnych przykładów wyliczał, ani podnosił różnic zachodzących między składnią obu języków, dodam tylko, że jedną z cech charakterystycznych obu języków jest ta pozorna nieregularność w porównaniu do innych, a właściwie swoboda i gibkość elastyczna, której główną regułą zasadniczą jest duch organiczny głębokiej a lekkiej harmonji, przejmujący naród i znaczący ostro uchybienia przeciwko zasadom języka, niepotrzebujące wlewać je i wgniatać w ciasne i twarde formy.

Wyżej wymienione ogólne rysy będą zdaje się dostateczne na poparcie mego twierdzenia, a do tych samych rezultatów dochodzimy także, gdy się zwrócimy do części gramatyki więcej materję, ciało języka sekcjonującej, t. j. do części etymologicznej, dotyczącej form i ich przemian. I tu znachodzimy w obu językach ten sam duch eufonistyczny z tą tylko różnicą, że co do spółgłosek w greckim on więcej w assymilacji, w polskim więcej w przeprowadzonym nadzwyczaj konsekwentnie stosunku miękkich i twardych spół-

głosek się objawia, oba zaś mają go w jednakowym sposobie w przegłaszaniu samogłosek. W obu widzimy w imionach to samo bogactwo przemian i form pochodnich i zdrobniałych — co do słów zdrobniałych polski silniejszy, i z europejskich tylko ruski czyli ukraiński i włoski pod tym względem go przewyższa — w czasowniku zaś również niezwykłe bogactwo przemian i czasowników składanych z przyimkami.

Żeby się nie zapuszczać w inne głębsze i specjalniejsze rzeczy zwrócę tu uwagę tylko na podział odmian rzeczownikowych; I. grecka obejmująca przeważnie żeńskie i niektóre męzkie rzeczowniki z pierwiastkiem na *α* zakończonym, odpowiada najzupełniej w polskim języku odmianie III. według gramatyki Dra A. Małeckiego; II. mieszcząca głównie męzkie i nijakie pierwiastki na *ο* odpowiada I. i II. polskiej według podziału Dr. Małeckiego; III. ma pierwiastki spółgłoskowe, które w polskim języku poczęści znikły przechodząc w klasę I. i IV. poczęści w V. odmianie się przechowały i pierwiastki na miękkie samogłoski *ι* i *υ*, odpowiadające rzeczownikom polskim przez IV. odmianę objętym.

Toż samo spojrzmy na podział czasowników: tam zakończenie *μι* właściwe odmianie bezspójkowej w historycznym okresie języka jest formą rzadszą ale dawniejszą niż zakończenie *ω* i cała odmiana spójkowa, a odpowiednio stoją do siebie w polskiem zakończenia **m** (w słowach na **am** i w odmianie bezspójkowej czterech spółgłoskowo zakończonych pierwiastków) i **ę**. *Verba pura* tak *contracta* (*α-ω*, *ε-ω*, *ο-ω*) jakoteż *incontracta* odpowiadają naszym dalszym pięciu klasom czasownikowym i siódmej gromadzie I. klasy według podziału gramatyki Dr. A. Małeckiego, a *impura* (*muta et liquida*) wprawdzie nie co do liczby — (bo ich w języku greckim stosunkowo daleko jest więcej) — ale co do sposobu odmiany, sześciu pierwszym i ósmej gromadzie I. klasy, gdzie szczególnie zasady eufonistyczne obu języków w przemianach końcowych trzonowych spółgłosek najliczniejsze mają zastosowanie.

Lecz jakem wyżej powiedział, mają dla nas porównawcze studja językowe mniejsze znaczenie, bo obchodzą tylko nieliczne grono pracowników na polu gramatyki. Dla szerszego koła publiczności, którejbyśmy większego zajęcia się helleńskiemi rzeczami życzyli, musimy poszukać za głębszemi analogjami i za ściślejszem wewnętrzniejszem pokrewieństwem myśli i ducha; szerszej publiczności więcej zależeć będzie na poznaniu ducha dziejów starożytnych, ażebyśmy wyniki tej tak samo jak i naszej własnej przeszłości na korzyść teraźniejszości i przyszłości do naszego dziejowego życia zastosować mogli. (C. d. n.)

Studja nad górnemi warstwami atmosfery.

(*Ze świeżych sprawozdań francuzkich.*)

II.

Paryż 9. marca 1865.

P. De Saussure dowiódł, że słoneczne promienie na wysokościach gór są cieplejsze niż na równinach poziomych. Tu większa część słonecznego ciepła pochłonięta bywa przez powietrze gęściejsze niż na wierzchołkach, jak dowiedliśmy już w poprzednim rozdziale. Oprócz powietrza jest jeszcze przy powierzchni para wodna, która pochłania znaczną ilość słonecznego ciepła, a której niema na górach. Wszyscy prawie naturaliści, robiący wycieczki na szczyty gór, potwierdzają fizyczne to-

prawo. Gau Lussac, podniosłszy się na znaczną wysokość, czuł tak niezmierne gorąco, że musiał zdjąć rękawiczki. P. Tyndal mowi, że przebywając szczyty Alpów czuł niesłychany ból głowy pochodzący z silnego gorąca.

Dowiedzionem jest także, że stosownie do okrążającego powietrza ziemia nagrzewa się więcej na górach niż na równinach. P. Martins studjował to na warstwie krzemiennego piasku, pokrywającego górę. Włożywszy na wysokości 3930 m. termometr w piasek, wystawiony na działanie słonecznych promieni, miał temperaturę 12° 3′, gdy tymczasem w powietrzu było tylko 3.° Powtarzając takie samo doświadczenie na różnych wysokościach otrzymał największą różnicę między temperaturą piasku i temperaturą powietrza 23°, a najmniejszą 6° 9′. Taka różnica między ogrzewaniem się ziemi na wysokościach gór i na powierzchni poziomej wywiera ogromny wpływ na fizyczną gieografję Alpów. Temu to prawu przypisać należy egzystencję wiecznych śniegów, które topnieją li tylko w skutek zetknięcia się z gorącą ziemią, zkąd też i śniegi na wszystkich górach zawsze topnieją z pod spodu. Potwierdzenie tego prawa widzimy w śniegowych zaspach, które pochodzą z odrywania się i spadania kawałów śniegu, słabo trzymającego się na ziemi. Nie jest to także w skutek podmycia śniegowej warstwy, przez wodę ze śniegu stopionego wyżej. Można się o tem przekonać: wybrawszy miejsce wyższe od sąsiednich, górkę małą n. p. gdzie żadną miarą nie mogłaby się docisnąć woda ściekająca, postawmy mocno nogę na śniegu a obaczymy, że znaczny kawałek śniegowej skorupy spadnie na ziemię, tak że będziemy mogli widzieć próżnię pod śniegiem.

Dla czegoż na górach śnieg i lód leżą w takiej obfitości jeżeli ziemia tam jest silnie ogrzewaną przez promienie słoneczne? Z jednej strony powietrze otaczające wierzchołki gór będąc nadzwyczajnie rzadkiem, pochłania tylko bardzo nieznaczną część słonecznego ciepła: z drugiej — ciepło, pochodzące od nagrzania się całej kuli ziemskiej i wodnej pary na powierzchni, zmniejsza się proporcjonalnie do wysokości, co pokazaliśmy w doświadczeniach termometralnych w balonach. Jedną z najważniejszych przyczyn jest jeszcze rzucanie promieni (promieniowanie), pochodzące z nadzwyczajnej suchości powietrza. Wiadomo że gdzie powietrze jest suche, tam bywają bardzo chłodne noce. W Saharze n. p., gdzie podróżny w przeciągu dnia całego wystawiony jest na palące promienie słoneczne, w nocy cierpieć musi od silnego zimna. To samo zjawisko powtarza się w Australji i na obszernych stepach północnej Azji i wschodniej Europy.

Na szczytach gór jest dwa rodzaje śniegu: jeden z nich roztapia się w dzień a zamarza napowrót w nocy, i tworzy w taki sposób skorupę twardą, po której można chodzić bezpiecznie. Drugi rodzaj jest to drobny proszek śniegowy padający w najwyższych częściach wierzchołków gór. Doświadczenia robione w miesiącu sierpniu nad tym rodzajem śniegu, dały temperaturę 19° niżej 0, wtedy gdy w powietrzu nie było zimniej jak 6.° Jeźliby ten stosunek był stały, to zimową porą, kiedy temperatura powietrza zniża się czasem do 30,° śnieg ten dałby 45°. Minimum temperatury tego rodzaju śniegu nie zostało jeszcze odkryte. Dotąd P. Tyndall tylko otrzymał 30° na wysokości 4400m. Góry oziębiają się także znacznie w skutek parowania, które sprowadza zjawisko, nazwane przez P. Peltier dymieniem się gór. Często z wierzchołków gór wznosi się mgła, podobna do dymu, rzekłbyś że porozkładano ognie w rozmaitych punktach. To znak parowania, które się zwiększa w miarę zmniejszenia się ciśnienia i ilości wodnej pary w powietrzu.

Dla podróżnego, wstępującego na wysokie szczyty, nie tyle jest niebezpiecznem zimno pochodzące z wyżej wyliczonych przyczyn, ile z silnego ruchu powietrza na górach. Powiedziałem poprzednio już, że wznoszący się w balonach doświadczyli w wyższych warstwach silniejszego ciągu powietrza niż na powierzchni ziemi. Na górach prawie bezustannie panują silne wiatry nawet wtedy, gdy w dolinach jest zupełnie spokojnie. Zauważyć to można w dolinach koło góry Mont-Blanc. Gdy jesteś na dolę, najpiękniejsza panuje pogoda; zaledwo wejdziesz na górę, czujesz

wiatr tak silny że niepodobna jest iść o własnej sile. Także i podczas zupełnej ciszy w dolinach, spadają ogromne kawały śniegu, oderwane wściekłością wiatru.

Do tych fizycznych przyczyn poniżenia się temperatury w wysokich miejscowościach, które cierpieć musi wędrownik zwiedzający wyższy pas powietrza, łączą się jeszcze inne trudności, wypływające z organizmu ludzkiego. Powietrze, którym wędrownik oddychać musi w wysokich miejscach, ma daleko mniej tlenu niż zwyczajne i krew z tym większą trudnością rozpuszcza gaz przy oddychaniu, im słabsze jest ciśnienie. To jest główną przyczyną górnej choroby. Trudność w oddychaniu, nudność, bieg krwi z ust i gwałtowny ból głowy, napadają na pewnej wysokości podróżujących. Zjawisko to objawia się na przestrzeni od 2 do 5 kilometrów stosownie do silniejszej lub słabszej konstytucji osoby. Widzieliśmy już że P. Glesher doświadczał tej choroby w balonie. Przy zatrzymaniu się działanie jej trochę ustaje. Organizm człowieka jest różny od organizmu ptaka, któremu natura dała możność życia w różnych warstwach powietrza. Ptak ma wewnątrz woreczki, napełnione powietrzem i połączone z płucami i kośćmi, w skutek tego ma zawsze w zapasie powietrze i może nim zawsze zasilić organizm, w razie gdyby ten potrzebował tego w skutek zmniejszenia się ciśnienia w warstwach rzadszego powietrza. Wprawdzie można się przyzwyczaić do oddychania w górnem powietrzu, a to, wchodząc na wysokości nie odrazu ale stopniowo, tak żeby organizm miał dosyć czasu do obycia się i uregulowania stosownie do nowych warunków. Liczne narody żyją w Quito i Peru na wysokości 4.166. nie cierpiąc żadnej choroby. Naturaliści, przyzwyczajeni do ciągłych wycieczek w góry, również nie ulegają chorobie.

III.

Dowiedliśmy już poprzednio całym szeregiem dwóch rodzajów doświadczeń, a mianowicie podnoszeniem się w balonach i wstępowaniem na wysokie szczyty gór, że temperatura poniża się proporcjonalnie do wysokości; poniżenie to zależy nie tylko od mniejszej lub większej wysokości nad powierzchnią ziemi, ale jeszcze od gieograficznej wysokości miejsca obserwacyj.

Możemy sobie zformować ogólne pojęcie o rozdzieleniu temperatury w atmosferze, kreśląc na kuli linje *izotermiczne*, i wyobrażając powierzchnie wychodzące z tych linij i łączące na rozmaitych wysokościach nad równikiem warstwy powietrza średniej odpowiedniej temperatury. Każda z tych powierzchni, które Mühry nazywa *hypsothermami* wyznacza w każdym południku krzywą, formy mniej więcej eliptycznej. Powierzchnia odpowiadająca linji izotermicznej 23°, podnosi się stopniowo do 1300 metrów; odpowiadająca 15°, do 2700$^{m.}$; odpowiadająca zaś 14° wznosi się do 10,000$^{m.}$

Na szczególną uwagę zasługuje płaszczyzna łącząca 0° temperatury. Z jednej strony dotyka prawie równoleżnika 65° a z drugiej wznosi się nad równikiem na 5300 nad powierzchnię morza i w zmianach w ciągu roku dochodzi latem do linji śnieżnej. Odkrycie granicy śnieżnej dla każdego pasma gór jest rzeczą nadzwyczaj ważną z powodu, że jest to najgłówniejszem źródłem do dokładnego określenia stanu temperatury i zcharakteryzowania klimatu sąsiednich krajów. Tymczasem samo studjowanie średniej temperatury, niedostatecznym jest do tego środkiem. Przy ścisłej analizie każdego zjawiska, potrzeba koniecznie zwracać uwagę na ilość wilgoci w powietrzu i na kształt samych gór. Humboldt, opierając się na licznych doświadczeniach, wskazuje wpływ następujących przyczyn:

Kierunku wiatrów panujących i styczności ich z morzem lub lądem; stopnia suchości lub wilgoci wyższych warstw powietrza; grubości śniegowej warstwy świeżej lub też zaległej z dawniejszych czasów; stosunku między ilością śniegu na górach a wysokością samych gór; pochyłości boków sąsiedniego pasma; blizkości innych szczytów, pokrytych śniegiem: obszaru płaskowzgórza, pośród którego wznoszą się uważane góry; najwięcej zaś formy góry: czy ta stanowi oddzielny stożek, czy też jest jedną z gór całego pasma. Płaskowzgórza znów wpływają

różnie, stosownie do tego, czy są położone nad morzem, czy wewnątrz lądu, i czem są pokryte: lasem, łąkami błotami, czy też nieurodzajnemi piaskami lub odłamami skał.

W Andach linja śnieżna w pasie równikowym jest na wysokości 4700m., posuwając się ku południowi podnosi się do 5500m., a jeszcze dalej na południe leży w tym paśmie wulkan Aconcagua o 450m. wyższy od Chimborasso, na którego powierzchni niema czasami zupełnie śniegu. To wzniesienie się linii śnieżnej jest nadzwyczaj znaczne w porównaniu ze wzniesieniem się w Alpach w Europie, gdzie na wysokości 2.826 spotykamy już wieczne śniegi. W górach Norwegji linja wiecznych śniegów leży na wysokości 1.690m., a w Laplandji jeszcze niżej. Na Spicbergu wieczny śnieg leży na wysokości 110m., a na wschodnio-północnym brzegu tej wyspy, nawet przy powierzchni morza śnieg nigdy nie topnieje.

W górach Himalaja widzimy jasny dowód wpływu sąsiedniego płaskowzgórza na wysokość śnieżnej linji. Na pochyłości północnej granica jej wzniesiona na 4.068m. gdy na pochyłości południowej nie więcej jak na 3950m.

Cała przestrzeń gór od linji śnieżnej aż do szczytów pokryta jest wiecznym śniegiem. Mała ilość ciepła słonecznego nie jest w stanie stopić w przeciągu lata tyle śniegu, ile go upaść może w przeciągu zimy. Cóż się więc dzieje z tym odwiecznym śniegowym składem? Nowe góry mogłyby się z niego potworzyć, bo od początku ery chrześcijańskiej warstwa składanego co rok śniegu wyniosłaby pół mili grubości. Jeżlibyśmy zechcieli wyliczyć grubość śniegu od czasu gieologicznych perjodów formowania się kuli ziemskiej, to wysokość gór ztąd wynikła, przeszłaby wszelkie pojęcie.

Wiadomo, że z gór spadają oderwane kawały śniegu tak wielkie, że zasypują całkiem sąsiednie doliny. Zjawisko to przyprawiające często o śmierć kilkuset mieszkańców, powtarza się prawie co rok w większym lub mniejszym stopniu. Jednak ilość śniegu, ubywającego z gór w taki sposób nie wynosi nawet połowy tej ilości, która przybywa w ciągu roku. Zatem rozchód ten nie zrównoważa przychodu. Widomo zaś z doświadczeń, że ilość śniegów na górach jest średnio stała. Przyczyną tej równowagi jest tworzenie się i ruch lodników, zjawisko odkryte niedawno po wielu odważnych wyprawach. Teorja formowania się lodników jest następująca:

Spodnia najdawniejsza warstwa śniegu, zostając ciągle pod naciskiem wierzchnich, których liczba ciągle się powiększa, stopniowo twardnieje i zamienia się w lód. Ponieważ cała masa śniegu leży zazwyczaj na gruncie pochyłym, więc części lodowej warstwy położone wyżej, naciskając ciężarem swym na części położone niżej, zmuszają je do usuwania się w kierunku pochyłości gruntu. Cała ta masa usuwającego się lodu nazywa się lodnikiem. Szybkość ruchu lodnika zależy od mniejszej lub większej pochyłości góry Ciężar lodnika nadaje taką siłę jego ruchowi, że niema innej siły, którаby była w stanie jej przeciwdziałać. Świadczą o tem bruzdy, wyryte głęboko na kamiennym gruncie, i ogromne odłamy skał, które lodnik napotkawszy na swej drodze, oderwał i uniósł daleko. Gdy cała ta lodowa masa usuwając się ciągle, przychodzi do okolic cieplejszych, lód zaczyna topnieć w stosunku do wyższej lub niższej temperatury i objętość lodnika zmniejsza się; zdarza się nawet czasami, że lodnik doszedłszy do końca pochyłości całkiem zamienia się w wodę. W przeciwnym zaś razie zsuwa się aż na dół, zmienia powoli swój kształt i napełnia całkiem doliny. Wtedy twardnieje jeszcze więcej i kontynuje ruch w kierunku pochyłości doliny, wolnym regularnym krokiem naśladując we wszystkich swych ruchach bieg rzeki. Wynik z bardzo ważnych w tym rodzaju doświadczeń P. Tyndall, tak daje się streścić.

„Zdarza się że kilka dolin, zapełnionych lodnikami, mogą się zlać w jedną. Lodniki z dolin pobocznych spajają się z lodnikiem głównym i tworzą w taki sposób jeden wielki lodnik. Stosownie do szerokości doliny lodnik zmienia swą formę. Napotkawszy ciasne przejście lodnik zwęża się i następnie znowu się rozszerza, przeszedłszy je. Środek posuwa się z szybkością większą niż boki a spód idzie

wolniej niż powierzchnia. Prędkość środka w największych alpejskich lodnikach dochodzi latem do 66 a zimową porą do 30 centymetrów dziennie."

W każdym prawie sprawozdaniu podróżujących można znaleźć opis wspaniałego widoku ogromnych tych lodowych mas; kilka z nich z powodu swej wielkości otrzymało nazwiska lodowych mórz. Jedno z nich położone w okolicach Grünwaldenu ma przeszło metr szerokości, zsuwa się w dolinę okrążoną z dwóch stron wysokiemi górami, pokrytemi sosnowym lasem. Powierzchnia jego usiana mnóstwem lodowych pagórków w kształcie piramid, podobną jest zupełnie do powierzchni morza, którego fale wzburzone gwałtownym wiatrem, raptownie zamarzły. Cudny nie do opisania przedstawia się widok, gdy padające ukośnie promienie słoneczne odbijają się od źwierciadlanej powierzchni lodowego morza. Zdaje ci się, że widzisz przed sobą całomilową przestrzeń usianą gęsto drogiemi kamieniami. Oko nie jest w stanie znieść tego blasku.

Grubość alpejskich lodników zmienia się od 30 do 370^{m}. Potoki wynikające z ich topnienia tworzą wszystkie prawie rzeki, i zasilają je najobficiej wtedy, gdy największa posucha panuje na równinach. Położenia ogromnych tych rezerwuarów wody, różne co do wysokości, są w zupełnej harmonji z warunkami temperatury miejscowej. Z urządzenia takiego dostrzedz się daje jedno z praw, któremi rządziła się natura przy rozdzielaniu temperatury na kuli ziemskiej. Tak, wysokość Alpów dostateczna jest na to, aby woda pochodząca z topnienia ich lodników przy klimacie Europy mogła napełnić potrzebną ilość rzek. Przy klimacie Azji potrzeba było dla napełniania rzek znacznie wyższych gór. Z tąd też Himalaje są wyższe od Alpów. Przeciwnie posuwając się w kraje zimniejsze znajdujemy góry coraz niższe.

Liczne nowe wynalazki gieologów dają możność teraźniejszej nauce określenia meteorologicznego perjodu formowania się lodników, nierównie większych od teraźniejszych. Zostawiły one w różnych miejscach ślady, których wieki zatrzeć nie potrafiły. „Jakoby czując niechybną swoją zgubę, mówi jeden z naturalistów, lodnik stara się zatrzymać, chwytając się gwałtownie za sterczące skały i za wystające boki gór — lecz napróżno; pchany własnym ciężarem druzgocze wszystko za co się chwyci, lub co napotka na swej drodze i pędzi ciągle w dół, unosząc z sobą kawały skał a czasem całe ich części." O rozległości dawnych lodników sądzić można ze znacznej ilości ogromnych głazów, które oderwane siłą lodnika od wierzchołków gór leżą na znacznych przestrzeniach od pierwotnych swych miejsc. Naprzykład na pochyłościach Jury znajduje się mnóstwo odłamów granitowych, które prawdopodobnie pochodzić mają z gór Szwajcarji, ponieważ pokład Jury jest z kamienia wapiennego. Te kawały granitu zaniesione na tak znaczną przestrzeń, i głębokie bruzdy w dolinach między Jurą i sąsiedniemi górami Szwajcarji, dowodzą nam, że dawniejsze lodniki rozciągały się od góry Montblanc aż do Genewy. Wiele podobnego rodzaju dowodów znaleźć można w Pireneach i w górach Anglji. Jednem słowem powiedzieć można, że teraźniejsze lodniki są karłami w stosunku do swych przodków. Uczony profesor Agassiz znany całemu światu odważnemi swemi wyprawami, dowiódł w nowem swem dziele, że cała północna Ameryka do 40° szerokości, pokryta była lodem. Różnymi sposobami objaśniają uczeni przyczynę formacji tych ogromnych lodników. P. Reynand traktując w znakomitem swem dziele „Niebo i Ziemia" o kwestjach zmian klimatycznych, czyni je zależnemi jedynie od astronomicznych warunków kuli ziemskiej. Mianowicie podług wyliczenia jego na 11.700 lat przed naszą erą, wypadało jednocześnie przesilenie zimowe dnia z nocą z największem oddaleniem słońca od ziemi; a letnie z najmniejszem. Z tej przyczyny zima miała maximum zimna a lato maximum gorąca. Takim samym sposobem w 1120 roku naszej ery, podczas przeciwnego zbiegu przesileń i najdalszego lub najbliższego położenia słońca, zimna zimowe i ciepła letnie były najmniejsze. Sądząc podług analogji możemy się spodziewać w 14,004 roku zjawisk podobnych do 11.700 r. Między innemi dowodami powiada p. Reynand: „Oprócz lodników na górach mamy jeszcze na naszej półkuli wielki lodnik północny, którego zmiany mogą nam służyć za skazówkę w historji klimatu kuli ziemskiej. Do-

sobie dziejami aż do r. 1480 uzupełnił. Dzieło jego jest największem na jakie się w dziejownictwie polskiem zdobyto, świeci wielkiemi zaletami, nieocenionem jest źródłem do dziejów spółczesnych lub bliższych autorowi, ale w opowiadaniu historji początkowej bywa Długosz nietylko, zupełnie niekrytycznym i mylnym, lecz dopuszcza się nawet zmyśleń, żeby nie przerywać toku powieści dla braku pewnych wiadomości. Wszyscy następcy żywią się prawie wyłącznie jego pracą. Długoszem stoją i Długoszem też grzeszą Cchwalczewski, Miechowita, Decjusz, Wapowski i późniejsi. Ale klasyczny Kromer wydziera berło ojcu naszej historjografji. Właśnie w sto lat po zgonie Długosza r. 1580 składa sejm publiczne podziękowanie Kromerowi za księgę dziejów, którą naród obdarzył. Odtąd staje się Kromer wyrocznią, zasada jego: „historja powinna być pisana *accurate, emuncte et eleganter*,“ czyli według spółczesnego spolszczenia „stylem ochędożnym“ — dogmatem, powtarzanym powszechnie przez dwa wieki prawie. Mniej „ochędożni“ dawniejsi pisarze dziejów popadają w pogardę. Kromer rzuca na nich anatema: „*boni quidem ii, sed inepti magistri latinitatis et haud scio an veritatis.*“ Długosz znany jedynie uczonym nie może się doczekać wydania drukiem i przechowuje się tylko w rękopismach. Gall, mistrz Wincenty, Baszkon Bogufał, Janko pokrywają się pyłem zapomnienia, butwieją nieczytani i poniewierani po lamusach i archiwach prywatnych i klasztornych.

Wiek XVII jest wiekiem upadku historjografji polskiej. Nie masz ani jednego dziejopisarza, któryby mógł stanąć obok Długosza lub Kromera, któryby się odważył opracowywać całość dziejów od pierwszych początków do czasów swoich — a zaledwie budzi się uczucie potrzeby poznania tego, co o odległej przeszłości dziejowej spisali bliżsi jej świadkowie. Tak podczas kiedy ogół piszących porwany prądem wypadków bieżących, zaprzątnięty rozwiniętem do najwyższego stopnia życiem publicznem, tylko spółczesne sobie kreśli dzieje, znajdujemy tylko jednego męża, który zwraca się w przeszłość, wygrzebuje, i zaczyna wydawać pozostałe po niej pamiątki. Wydawnictwo dawniejszych źródeł dziejowych naszych, mianowicie kronik, sięga więc początków XVII wieku. Jest to jednak dopiero pierwszy, oczywiście chwiejny jeszcze krok na tej drodze, na której ku końcowi XVIII i w XIX wieku postępuje już śmiało i z przekonaniem dziejopisarstwo polskie.

Rozpoczął je Jan Feliks Herburt chorąży lwowski, syn Jana kasztelana sanockiego, który w majętności swej Dobromilu umyślnie w celu wydawania dawnych źródłowych dziejopisów naszych drukarnię założył. W r. 1612 ogłosił on po raz pierwszy drukiem kronikę mistrza Wincentego, nazywanego wówczas zwykle Kadłubkiem. Zapowiedział też wydanie kroniki Galla i kroniki Baszka (któràto ostatnia starszą mu się nawet od Gallowej wydawała), ale nim się zabrał do ziszczenia tej zapowiedzi, zajęło go mocno ważniejsze jeszcze przedsiębiorstwo. Leżały od dawna po książnicach wielkie wolumina historji Długosza, nie mogąc się przez wiek cały doczekać ogłoszenia drukiem. Więziła Długosza w manuskrypcie raz pogarda XVI wieku dla dawnych dziejopisów, a powtóre prawdomowność, która nie dozwalała mu przemilczeć wad znakomitych rodów herbowych, i czyniła przez to księgę jego w oczach panów szlachty dziełem obrażającem dumę rodową i kalającem klejnotne splendory. Herburt otrzymawszy w puściźnie po ojcu kodeks kroniki Długosza, postanowił ogłosić ją drukiem i rzeczywiście w r. 1614 pierwsze sześć ksiąg wydał, przypisując je senatowi weneckiemu. Publikacja ta znalazła tylu nabywców, że już w następnym roku drugi raz te sześć ksiąg w tejże drukarni odbito. Zawarte w niej *arcana* szlacheckie, znane dotąd tylko małej liczbie wybranych, gdyż kosztowne manuskrypta dostępne były tylko zamożnym, wyszły teraz na widok publiczny. Potomkowie rodzin, o których nienajpochlebniej wyraził się Długosz czuli się boleśnie dotknięci. Zaniesiono skargi do tronu i król Zygmunt III. widział się zniewolonym wydać reskrypt, mocą którego zabroniony został druk dalszy tego dzieła, jako obrażającego niektóre zacne i dostojne osoby, a zarazem powstrzymana sprzedaż publiczna czę-

syć jest odkryć kroniki północnych narodów aby się przekonać, że perjod jego formowania się, potwierdzają zupełnie przytoczone wyżej prawa zmian temperatury. W dziesiątym i jedynastym wieku mogli swobodnie marynarze skandynawscy jeździć aż do brzegów Grenlandji. Nawet znaczny kawał brzegów tej wyspy był wolny od lodów, dowodem czego służyć może zaludnienie Grenlandji i późniejszy kwitnący stan jej kolonij. W czternastym wieku brzegi Grenlandji zaczęły się otaczać lodem a w końcu tego wieku i południowy jej brzeg nie był już dostępnym dla marynarzy. Komunikacje zostały przerwane, kraj wyludniony — i biegunowa natura znowu objęła w posiadłość kraj ustąpiony na kilka wieków ludziom. Jednocześnie z powiększeniem się lodów na północy następuje zmniejszenie się ich na południu, co okazało się z najnowszych sprawozdań z końca 18 i z początku 19 wieku.

I tak po za obrębem meteorologji właściwej, mamy jeszcze wielkie zadanie w samym fizycznym ustroju kuli ziemskiej — a rozwiązanie ich najwięcej zależy od dokładnego poznania nadpowietrznego pasu. Podniesienia się w balonach są teraz najwięcej pożądanemi dla nauki. Obecnie Anglja najwięcej się tem zajmuje. Francja wysłała także kilka kompanij uczonych w różne części świata, dla dokładnego wystudjowania fizycznych praw kuli ziemskiej. Sprawozdania z tych wypraw będą jedną z najciekawszych rzeczy w przyszłości.

Z. S.

Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski. Wydał August Bielowski. Tom I. Lwów, nakładem własnym 1864. str. XXXII i 946.

I. Dziejopisarstwo jak każda inna umiejętność nie stoi na jednem miejscu, lecz przeciwnie rozwija się i doskonali nieustannie. Inaczej spisywano u nas dzieje w XVI wieku i dawniej, a inaczej opracowują je dzisiaj. Wyszedłszy z rocznikarskich urywkowych zapisków po księgach klasztornych i po ich okładzinach w XI i XII wieku, starali się dziejów pisarze wyłącznie o rozsnucie ciągłego opowiadania z rejestrowych notat swoich poprzedników. Wytężając całą uwagę i zdolności w tym kierunku, starając się jedynie o jednolitą powieść, którąby przedstawiała jakowyś obraz upłynionego życia narodu — zapominał piszący o wszystkiem innem, patrzał z pogardą na daty roczników, ba nawet proste następstwo zdarzeń uważał za niekoniecznie potrzebne. Tak spisywali dzieje nasi pierwsi kronikarze w XII i XIII wieku, przekonani, że przez ten sposób ich obrabiania zyskują nie małą wyższość nad rocznikarzami.

Nie o wiele różnią się od nich pojmowaniem rzeczy historjografowie XIV i poźniejszych wieków. Większa u nich tylko potoczność i pełność w opowiadaniu, nie taki wstręt do dat, owszem widać usiłowanie ścisłego połączenia chronologji z powieścią dziejową. Wszelako jak tamtym tak i tym nieznane krytyczne badania i dochodzenia prawdy, jak również obcy im zupełnie pragmatyczny związek. Nagromadzoną ze wszystkich kątów świata, z historyków i filozofów starożytnych, erudycją, sztukują bez braku przerwy dopatrzone w dziejach ojczystych, przyjmują z najlepszą wiarą byle wiadomość, ba nawet podania mityczne. Zamierzchła przeszłośc nasza przedhistoryczna, dzieje pierwszych wieków piastowskich otrzymują pod ich piórem formę wykończonej zupełnie powieści dziejowej, ale równocześnie stają się stekiem fałszów, w których gubi się jak w morzu piasków złote ziarno prawdy. Ojcem tej nowej szkoły Długosz, najwykwintniejszym jej uczniem, piszący klasyczną łaciną Kromer.

Prawdomowny, oczytany niepospolicie, a pracowity nad podziw Długosz, przewertowawszy wszystko, co przed nim w przedmiocie dziejów pisano, pociągnął pod jedno stanowisko zdarzenia od czasów najdawniejszych i takowe spółczesnymi

ści wydrukowanej. Taki koniec wzięło szlachetne i zaszczyt owemu wiekowi robiące przedsiębiorstwo Herburta. Podaną przezeń myśl wydawania dziejopisarzów dawnych podniósł dopiero wiek XVIII i rozwinął ją szerzej.

(C. d. n.)

ROZMAITOŚCI.

— **Don Carlos** *Leben, Verhaftung und Todt dieses Prinzen. Von L. A. Warnkönig Stuttgart. 1864*

Część ta historji hiszpańskiej leżała w Niemczech przez dłuższy czas odłogiem. Ogół pojmował Don Karlosa zupełnie tak jak go Frydryk Szyller w swej trajedji przedstawił, — a uczeni kontentowali się po części ogólnikowem skonstatowaniem różnicy między Don Karlosem historji a poezji. Jeden tylko Ranke 1829 (*Wiener Jahrbücher für Litteratur*) a po nim Raumer w Niemczech starali się część tę historji dokładniej wyjaśnić; co im się jednak w tym stopniu nie udało jak to Mony i Gachard uczynili w dziełach pod jednakowym tytułem: »*Don Carlos et Philippe II.*« wydanych. Szczególniej zasługuje tu na uwagę dzieło Gacharda czerpane z najobfitszych źródeł, obrabiające przedmiot obrany z wielkiem zamiłowaniem i nie nużące wcale mimo swej obszerności. Mimo tych zalet jednak, w które podobnież i dzieło Karola de Mony obfituje, nie mogły one już dla swej obszerności stać sią popularnemi. Do znajomości więc owego okresu i do poznania historycznego Karlosa przyczyni się u szerszego ogółu wiele dzieło wyż wymienione Warnkönig. Dzieło to nie zawiera wiele nowego materjału, jest ono więcej prostem powtórzeniem tego co dwaj wyż wspomniani historycy powiedzieli — lecz powtórzenie to jest potoczystem i miłem, i zawiera wszystkie warunki aby dzieło to popularnem uczynić.

Nad porównaniem historycznego Don Carlosa z Don Carlosem szyllerowskim nie możemy się tu tą razą rozszerzać; byłoby ono jednak ciekawem jako studjum estetyczne w kwestji bardzo często u nas podnoszonej a zazwyczaj jednostronnie rozwiązywanej, w kwestji prawdy historycznej w artystycznym utworze dramatycznym, co pod prawdą historyczną w takim razie rozumieć należy, i jakim wymaganiom autor dramatu historycznego odpowiedzieć powinien. Niemiecka literatura już w samych dziełach Gœtego i Szyllera daje w Egmoncie, Gœtzu z Berlichingen, Wallensztajnie dość tematów i materjałów do prac podobnych, a i u nas tylokrotnie w dramatach przedstawiana Barbara Radziwiłłówna, Mazepa Słowackiego, Jerzy Lubomirski Szujskiego i Szajnochy, nie mówiąc już o innych zasługują na podobne krytyczne rozebranie. Ile sobie przypominamy, nie zła była w tym przedmiocie krytyka Hilarego Męciszewskiego odnośnie do dramatu Urszula Mejerin w II. tomie biblioteki Ossolińskich w serji z r. 1847.

— **Mety** wyszedł Nr. 2. Zawiera: 1) Dodzisiejsza polityka Rusinów; 2) Uwłaszczenie włościan — jakiem ono jest u nas, a jakiem w królestwie polskiem (korespondencja z Ukrainy); 3) O szkołach ludowych na Ukrainie (korespondencja); 4) Rosja a Ruś (ciąg dalszy); 5) Odpowiedź moskala Litwinowi. (Z moskiewskiego czasopisma: »Swobodne Słowo.«) 6) Przegląd polityczny; 7) Nowiny.

— Dr. Łazarewicz. Słownik do Xenofonta Anabasis. Ostrów. Priebatsch. I. str. 130.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **F. B. Twardowski.**
Za Redakcję: **L. Tatomir. E. J. Janicki.**
Z drukarni Zakładu nar. im. Ossolińskich. *Pod bezpośrednim zarządem Aleksandra Vogla.*